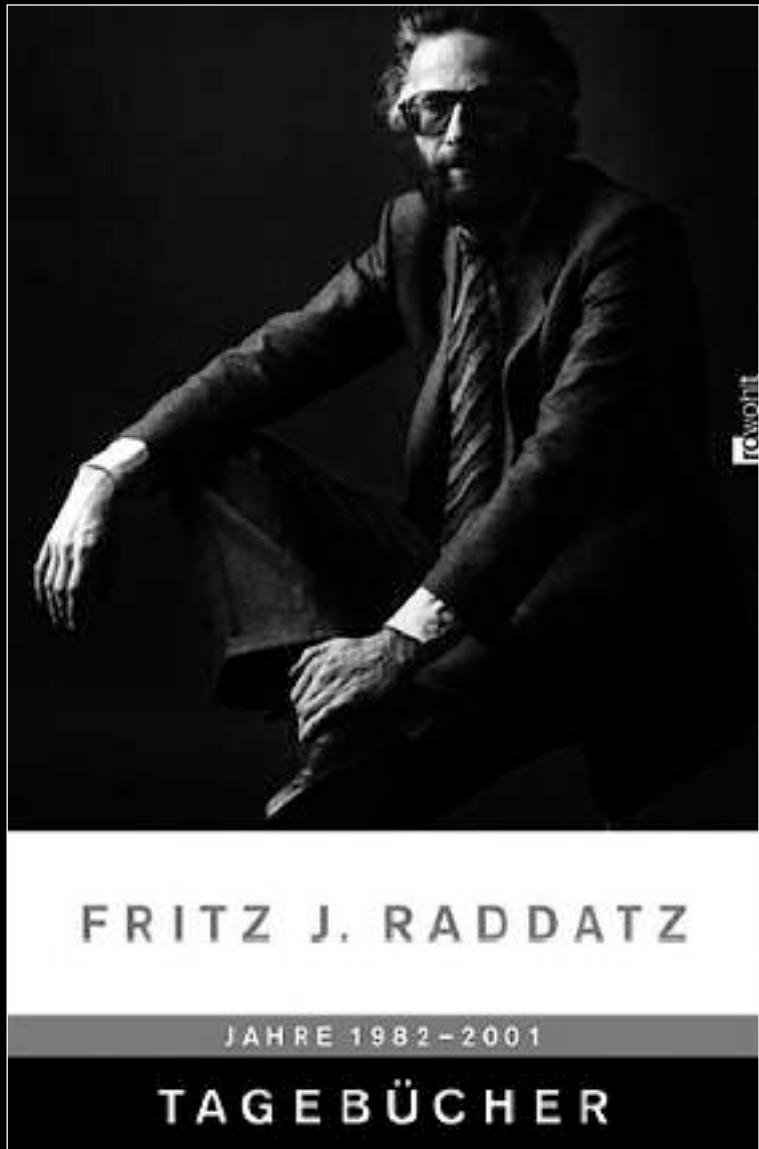


Raddatz to przede wszystkim błyskotliwy, płodny felietonista, eszysta, krytyk literacki (w 2010 otrzymał nagrodę im. Hildegard von Bingen za dorobek publicystyczny) i biograf (m.in. Rilkego), a także pisarz. W 2003 ukazała się jego autobiografia *Unruhestifter* („Wichryciel”), a jesienią zeszłego roku – długo wyczekiwane dzienniki, obejmujące lata 1981–2010, okres dla Niemiec niezwykle interesujący. Mamy tu trudne lata osiemdziesiąte, zimną wojnę, podzielony kraj, rozdarty na pół Berlin (Raddatz jest rodowitym Berlińczykiem, który po okresie fascynacji marksizmem-leninizmem zdecydował się wyemigrować do Zachodnich Niemiec), wreszcie upadek muru, obalenie komunizmu, zjednoczenie Niemiec, nowy początek – a wszystko przefiltrowane przez życie kulturalne ostatnich dwóch dziesięcioleci...

Na kartach *Dzienników* roi się od Grassów, Johnsonów, Enzensbergerów, Kempowskich i innych większych i mniejszych gwiazd niemieckiej sceny literackiej. Raddatz obcuje także ze sławami tej miary co np. antropolog Lévi-Strauss czy malarz Francis Bacon; przemierza Amerykę Południową śladami Gabriela Garcíi Márqueza, a Północną w poszukiwaniu odpowiedzi na tajemnicę pisarstwa Faulknera. Niezmordowanie *bywa* – na targach książki, wieczorach literackich, spotkaniach literatów, wernisażach... Nie ma chyba w Niemczech równie zaangażowanego uczestnika życia kulturalnego, który byłby zarazem tak wnikliwym jego obserwatorem i krytykiem. Bo Raddatz krytykuje ile wlezie – nie zostawia suchej nitki na Rudolfe Augsteinie, Marcelu Reichu-Ranickim czy Helmucie Karasku (który notabene odwdziaczył mu się zgryźliwą recenzją *Dzienników* na łamach «Die Welt»), nie stroni od ironii, jak np. w opisach zbyt skromnych, jego zdaniem, kolacji u hrabiny Dönhoff czy jałowej atmosfery przyjęć towarzyszących frankfurckim targom książki. Jego cięte uwagi na temat wyjątkowo nie lubianego Hansa Meyera nie mają sobie równych. Meyer podobno zawsze nosił ze sobą walizeczkę pełną swoich publikacji, na podobieństwo przedstawiciela handlowego... W *Dziennikach* pełno jest humoru sytuacyjnego, jak na przykład w opisie Kempowskiego, który na pewnym spotkaniu literatów boi się wejść do sąsiedniego pokoju, bo „przecież tam siedzi Grass”.

Raddatz nie ogranicza się do opisu samych tylko idiosynkrazji literatów czy dzielących ich konfliktów. Gdyby tak było, książka pozostałaby tylko i wyłącznie kroniką towarzyską. Całe szczęście całe to życie towarzyskie i uczuciowe przepuszczone jest przez osobę Raddatza, doskonałego komentatora bieżących wydarzeń i człowieka z krwi i kości – i ta właśnie subiektywna prawda stanowi o sile wyrazu *Dzienników*.



I niech sobie obrażony Helmuth Karasek wytyka autorowi nieścisłości!

Przy całym umiłowaniu satyrycznej przesady Raddatz nigdy nie ogranicza się tylko do niej samej. Nawet w najbardziej zajadłych karykaturach można wyczuć czułość, a w najgorszym razie współczucie – nigdy politowanie. Zresztą autor obiektem satyry bardzo często czyni samego siebie – natrząsa się z własnych podbojów seksualnych, których z wiekiem coraz mniej, wybujałej ambicji, nadmiernego umiłowania ekskluzywnych kolacji zakrapianych szampanem (jak wielkie jego oburzenie, gdy na jednym z przyjęć zamiast szampana podano... zwykle wino musujące!), z rozbijającą szczerością wyznaje, że powątpiewa w wartość własnej produkcji literackiej, bo to przecież „wszystko wyciśnięte z innych książek”, że „jedno, ale własne opowiadanie” miałoby większą wartość niż cała ta „wtórna” publicystyka. Nie brak też w dziennikach pasażu nakreślonych z sympatią, a nawet miłością – gdy mowa o malarzu Paulu Wunderlichu i jego żonie czy o Grassie, z którym łączy Raddatza pełna napięcia przyjaźń. Autor *Dzienni-*